

Przygodzki, Jacek Ryszard

I piekło może być bardziej znośne

Przegląd Pruszkowski nr 1, 30-34

1994

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Warszawa, 08.04.94

Redakcja "Przeglądu Pruszkowskiego"

Od dawna nosiłem się z zamiarem napisania do "Przeglądu" o moich przeżyciach w Dulagu 121. Jak zawsze brak było czasu, ale teraz zbliża się 50 rocznica Powstania Warszawskiego i to mnie zmobilizowało do pisania.

W pierwszych zdaniach wspomnień nawiązuję do artykułu z "Przeglądu", ale proszę nie traktować tego jako polemikę. Każdy z nas inaczej odbierał takie same zdarzenia w zależności od sytuacji rodzinnej i tego co go spotkało, a ponadto każdy miał inną ścieżkę przez to piekło, swoją własną. Inaczej więc odbierały to dzieci, które nie ogarniały całej grozy sytuacji, inaczej ich rodzice, którzy czuli się za nie odpowiedzialni a nic prawie nie mogli zrobić dla ulżenia ich doli. Inaczej wspominają Dulag ci, którzy z niego pojechali do obozów koncentracyjnych lub przeżyli śmierć najbliższych, a inaczej wywiezieni w piotrkowskie czy łowickie, którzy uniknęli najgorszych doświadczeń.

Może więc zainteresuje Redakcję moja "ścieżka przez obóz pruszkowski", ścieżka jedenastoletniego chłopca.

Jacek Ryszard Przygodzki

I piekło może być bardziej znośne

Gdy czytałem wiele lat temu artykuł p. Edwarda Kołodziejczyka p.t. "Dulag 121" w "Przeglądzie Pruszkowskim" z 1981 roku (zeszyt 2), znalazłem tam określenie: "warunki straszne, istny koszmar".

Obóz w pełni zasługiwał na takie określenia, ale moje osobiste wrażenia nie były aż tak złe. A to dlatego, że w czasie Powstania byłem przez pięć dni w jeszcze gorszym piekle, które przeszło do historii pod nazwą "Zieleńska".

Ten plac, gdzie przedtem sprzedawano warzywa, obszerny i otoczony murem, został wykorzystany jako punkt tranzytowy przed transportem do Pruszkowa. Mało kto przebywał tam dłużej niż jeden - dwa dni i przeszedł tyle, co mieszkańcy Ochoty. Ci mieli pecha, bo przypędzono ich tam na początku i trzymano przez pięć do sześciu dni, zanim zorganizowano transporty. Nasza rodzina znalazła się, na nieszczęście, w ich liczbie.

Przez cały ten czas nie dostarczano nam wody ani żywności. Pozwalało jedynie chodzić grupami poza plac po wodę lub żeby nakopać sobie gołymi rękami ziemniaków, rosnących w pobliżu. W kolejce po wodę stały takie tłumy, że można było stać przez cały dzień i jej nie dostać, zresztą było prawie niemożliwością zdobycie naczynia, do którego można byłoby

jej nalać. Ziemniaków nie było na czym upiec, chociaż pozwolono rozebrać jeden z baraków na opał i rozpalono kilka ognisk, ale o dostęp do nich walczył kłębiący się tłum. Trudno zresztą było jeść ziemniaki wobec tortury pragnienia z powodu braku wody.

Dla lepszego zobrazowania sytuacji trzeba dodać, że na teren Zieleniaka przyprowadzono krowę i kozę, które to zwierzęta zastrzelono. Ich mięso miało zaspokoić całe zapotrzebowanie na żywność tysięcy wygłodniałych ludzi obozujących na gołej ziemi. Oczywiście, można było kupić za złoto od pijanych strażników chleb, a od różnych podejrzanych typków, którzy zagarnęli przemocą większą część owego mięsa - zupełnie sprzedawaną za niebywale wygórowane ceny.

Przez pięć dni wypilem mniej więcej pół litra wody, chociaż jako dziecko dostawałem więcej niż dorośli. Dla nas więc obóz w Pruszkowie oznaczał możliwość napicia się wody, a nawet po raz pierwszy od kilku dni szczęście obmycia rąk i twarzy. Dano też zupełnie "ergieowską", nic więc dziwnego, że czuliśmy się przeniesieni do lepszego kręgu piekieł. Nie dlatego jednak, że władze niemieckie stworzyły lepsze warunki. Dulag był otoczony opieką mieszkańców Pruszkowa, miasta o wspaniale zorganizowanym podziemiu. Opiekowało się nami Państwo Podziemne, ale o tym dowiedzieliśmy się dopiero później. Oficjalnie występowała Rada Główna Opiekuńcza.

Ta pomoc była ogromna. Nie każdy mógł ją ocenić tak, jak my, przez porównanie z Zieleniakiem, gdzie takiej pomocy nie było, poza minimalną opieką sanitarną. W Pruszkowie na terenie obozu działali liczni lekarze i siostry, przewożono ludzi do szpitali, zakres pomocy był nieporównanie większy.

Te dwa rodzaje pomocy: opieka sanitarna i dostarczanie żywności były świadczone legalnie, za zgodą władz obozu. Oprócz tego była jeszcze zakrojona na niebywale szeroką skalę akcja uwalniania ludzi oraz pomoc w odnajdywaniu w tym tłumie rodzin i znajomych. Zaraz po przybyciu dowiedzieliśmy się od innych więźniów, że takie możliwości są. Moja mama starała się przekazać wiadomość o nas rodzinie zamieszkałej w Pruszkowie, ale wymagałoby to czasu, a nas już następnego dnia wypędzono z hali, by dokonać segregacji przed transportem. Niektórzy próbowali zadekować się i zostać na terenie Dulagu, ale mama miała już tak dalece dość wszystkiego, że nie podjęła takiej próby, chciała jak najszybciej mieć to za sobą. Podeszliśmy więc w długim szeregu do umundurowanych Niemców, którzy dzielili nas na dwie kolumny. Widać było, że jedna z nich składała się z ludzi młodszych, zdolnych do pracy, a druga głównie z osób wiekowych i dzieci. Nam, jak i wszystkim, chodziło o to, by się nie rozłączać. Gdy więc Niemiec skierował mnie i moją babcię w lewo, a mamę w prawo - mama odezwała się do niego po niemiecku:

- Jestem chora, nie ma dość sił do pracy. -

Po sześciu dniach pobytu na Zieleniaku na pewno wyglądała na chorą, ale to przecież nie miało dla nich większego znaczenia. Jednak Niemiec popatrzył, mruknął:

- Alles sind krank - że niby wszyscy są chorzy, ale machnął ręką w naszą stronę i mama przyłączyła do nas.

Dokąd nas zawiozą, tego nie wiedzieliśmy. Nie spodziewaliśmy się niczego dobrego. W towarowym wagonie nabitym ludźmi do niemożliwości, rozmowy toczyły się głównie o celu podróży, przy czym dominowało przekonanie, że wiozą nas do Oświęcimia. Dopiero gdy pociąg zmienił w Skierniewicach kierunek jazdy na północny, prognozy zaczęły wskazywać Stutthof jako miejsce naszego przeznaczenia. Były to spekulacje całkowicie jałowe, na niczym nie oparte, świadczące jednak o tym, czego powszechnie spodziewano się od Niemców, znając traktowanie ludności polskiej w czasie lat okupacji, a zwłaszcza podczas Powstania Warszawskiego.

Rzeczywistość okazała się, na szczęście, zupełnie inna. W Łowiczu kazano nam wysiadać. Dookoła nie było strażników w mundurach! Był to szok podobny do tego, jakiego muszą doznać ludzie wypuszczeni na wolność po długotrwałym więzieniu. Ogłoszono komunikat, że nie wolno



liśmy nawiązać kontaktu z rodziną w Pruszkowie. Mama przekazała jednak adres mojego stryja, Zygmunta Przygodzkiego, panu Jackowi Prandeckiemu.

Zachowała się karta pocztowa, pisana przez moją stryjenkę, Stanisławę Przygodzką, 28 września 1944 roku. Wynika z niej, że Jacek Prandecki zdołał przesłać wiadomość o sobie i że próbowano go wydostać. Rodzina szukała również nas, dowiadując się od mieszkańców naszej ulicy (w czasie transportu warszawiacy trzymali się w miarę możliwości razem domami, a nawet ulicami). Również mój wuj, Tadeusz Winder, nawiązał kontakt ze stryjenką, zapytując o nas. Zakres tych poszukiwań mógłby sprawiać wrażenie, że było to proste i łatwe. Mieszkańcy Pruszkowa, pamiętający tamte czasy, wiedzą jednak, że niosący pomoc warszawiakom narażali swoje życie.

Możliwości poszukiwań, o których wspomina stryjenka w swym liście, mogły być wynikiem bliskich kontaktów rodzinnych z dowódcą VI Rejonu Obwodu "Obroza" Armii Krajowej majorem Edmundem Krzywdą-Rzewuskim.

Wiadomo jednak, że prowadzona przez pruszkowiaków akcja odnajdywania ludzi, świadczenia im pomocy i wyprowadzania ludzi z terenu obozu, dotyczyła nie tylko krewnych czy znajomych. Miała ona bardzo szeroki zasięg, możliwy tylko dzięki wyjątkowej ofiarności społeczeństwa pruszkowskiego, RGO, a przede wszystkim organizacji AK-owskiej. Państwo Podziemne, w miarę możliwości, opiekowało się swymi obywatelami.



rys. Jerzy Blancard